



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50 — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Prelekcje Publiczne. Dra Fil. H. Lewestama. — Korespondencja z Paryża. — Krzyżowe drogi. Powieść składana w listach czterech autorów. — Pogadanka Tygodniowa. — O ubiorach męskich.

PRELEKCJE PUBLICZNE

HENRYKA LEWESTAMA

Dra Filozofii, profesora Szkoły Głównej.

(Dalszy ciąg prelekcji 2-j).

Dreżony żalem niewczesnym, Lear przybywa do zamku Glostra, w którym Regan i książę Kornwalii obrali swą rezydencję. Zaraz w dziedzińcu zamkowym złowrogi widok oczy jego uderza, — widzi bowiem człowieka wsadzonego w dyby, a tym człowiekiem jest hrabia Kent, mniemany Kajus, własny jego posłaniec, który miał uprzedzić córkę o jego blizkiem przybyciu. Poniżającą tę karze uległ Kajus z rozkazu księcia i księżnej, pod pozorem sprzeczki z marszałkiem Gonerili. Czyż teraz, w obec tak krwawej obrazu, wyrządzonej jego majestatu w osobie posłańca, Lear znów uniesie się gniewem? Nie — zostaje cierpliwym; — pobłażliwie nawet tłumaczy niegrzeczne ociąganie się córki z przywitaniem drogiego gościa. Jakże ogromna już została zmiana w całym jego postawie! Jaki przewrót w całym jego sposobie widzenia! Niegdyś o byle co się oburzał, — dziś gotów jest usprawiedliwić wszystkich i wszystko. Bo Lear w samej rzeczy przewidział następstwa zerwania z Reganą, i jakkolwiek zadaje gwałt wrodzonej swęj wyniosłości, postanowił uniknąć tego zerwania. Jeżeli straci jeszcze przywiązanie drugiej tej córki, któż nadal będzie jego podporą? do kogoż miałby odtąd się schronić? Miłość Regany, to ostatnia już jego uciechka; — gdy i tej mu zabraknie, przed nim już tylko rozstanie się życie nieszczęście i nędza. Więc też z uśmiechem na ustach wita księcia Kornwalii i jego małżonkę; — nawet o tem zdaje się nie pamiętać, że kazano mu czekać przybycia ich, ani że posłańca jego skrzywdzono. Nie Reganie wyrzuca niewdzięczność, lecz Gonerili:

Kochana Regano!

Jakże niegodną, jest twa siostra! Ona

Tu (na serce wskazując) niewdzięczności ząb jak sęp wszczepiła!

Zaledwo mówić mogę i zaledwie

Ty wierzyć możesz, jak wyrodną duszą —
O moja Regan!...

Ale napróżno starzec chciałby dalej prowadzić swe skargi. Regana oschle przerywa mu, niby tłumacząc winę swęj siostry i radzi królowi, żeby Gonerilę przeprosił. Lear skromnie, na klęczkach tłumaczy się, że tej rady usłuchać nie może, — na klęczkach błaga Regany, żeby się „nad nim ulitowała, żeby zaopatrzyła go w odzież, łożę i strawę“, — Goneril bowiem — mówi:

— w połowie zmniejszyła mój orszak,
Pochmurnem na mnie spozierała okiem, —
Jak wąż, ukłula żądłem w samo serce!
Niech pełną pomstą w jęj głowę niewdzięczną
Uderzy niebo! a młode jęj kości
Zawiew powietrza przejmie i zbezwładni!
Rączy pioranie, olśniewającym grotem
Narzuć jęj dumne i podniosłe oko!
Mór na jęj wdzięki! Mgły z bagien wyssane,
Które wszechwładna siła słońca dźwiga,
Niech ją ogarną i zetrą jęj butę!

„Przebóg! — przerywa mu Regan — „tak i mnie przeklniesz, gdy wpadniesz w szal dziki!“

O nie, Regano! nigdy cię nie dotknie
Moje przekleństwo! Twoje miękkie serce
Nigdy się takięj nie podda dzikości!
Jęj oko groźne, — jak twoje łagodne,
Żarem nie pali. Ty nie pozazdrościsz
Moim uciechom; — nie umniejszysz przecie
Mego orszaku gwałtownemi słowy —
Nie zechcesz mojęj uszczuplać puścizny, —
I na ostatek, ryglem drzwi zawarłszy,
Wstępu mi wzbraniać. Ty przecie znasz lepiej
Węzły natury, obowiązki dziecka,
I wzgląd przystojny, i długi wdzięczności!
Nie zapomniałas, żem cię udarował
Połową mego królestwa!

Daremne wybiegi! biedna taktyka stawiana przez ojca w rozpacz przeciw groźnej rzeczywistości! Napróżno Lear dowodzi swojęj córce, iż ona nie jest niewdzięczną; — napróżno jęj przywołuje na pamięć jęj powinności i zobowiązania, — napróżno odwołuje się „do jęj serca tchnącego czułością!“ Napróżno przemawia on do anioła — szatan mu odpowiada. Przerazony, z kroplistym potem na czole, z głosem przerywanym przez łkania, napróżno czeplą się jednego jeszcze, ostatniego złudzenia, — i ta ostatnia także nadzieja usuwa się z pod drzą-

cych stóp starca. Nareszcie prawda występuje na wierzech w całej swęj szorstkiej jasności, — Goneril wchodzi, a Regan przyjaźnie podaje jęj rękę. Straszne przymierze w tajemnicy zawarte, zostaje jawnie przyznaniem: — obie siostry sprzysięgły się przeciw ojcu.

Lear opuszczony przez drugą swą córkę, nie ma już tu na ziemi schronienia, — więc też pomocy nie od ziemi już oczekuje. On, który niegdyś w potężnej swęj pysze, rozkazywał siłom niebieskim i zwoływał na Kordelię „wszystkie wpływy gwiazd, które dają i niszcą istnienie“, on dla siebie teraz błagać musi łaski tych niebios. W szczytnej modlitwie zaklina je, że gdy między nimi a nim podobieństwo jest zgrzybiałości, winny przyjąć na siebie jego obronę:

O nieba! jeżeli

Sędziwe w starcach miłujecie lata,
I błogie prawo wasze nakazuje
Im posłuszeństwo — jeżeli istaiejecie
Same od wieków, toż, jak w sprawie własnej
Wstawcie się za mną, przemówcie, i moją
Bierzcie obronę!

Niestety! niebiosa nawet wypierają się swego rówieśnika. Grzmoty, których uderzenia zwoływał starzec na głowy swych dzieci, za chwilę w samej rzeczy rozwściekną się, ale nie przeciw Gonerili, nie przeciw Reganie, a jedynie przeciw samemu Learowi!

Wypędzony przez córki, Lear ucieka z pałacu Glostra. Już na widokregu zdaleka tylko rysują się kontury tego siedliska niewdzięczności dziecięcej; — w około puszcza — ani drzewa pod którem się schronić, ani rowu nawet, gdzieby ułożyć swą głowę, — a tu noc nadchodzi, a burza już ryczy coraz bliżej. Król tuła się po stepie, w towarzystwie jednego tylko błazna. O znikomości rzeczy ludzkich! Ze świetnego tego orszaku, który go wczoraj otaczał, dziś pozostał mu tylko ten trefniś. Wszyscy dworacy, którzy niegdyś cisnęli się tłumie pod jego stopy, książęta, majordomy, barony, — wszyscy dziś znikli, — a z tylu wiernych rzekomo, którzy mu zaprzysięgli poświęcenie bez granic, nie opuścił go tylko ten jeden, żartowniś sowizrrzał, w osłój czapce z brzęczącymi dzwonkami, dziecię ludu, podjęte z ulicy dla śmiesznej swęj ułomności, jak pies wychowane pod batem, a za błazeństwa karmione okruchami ze stołu swojego pana. Ach! oddajmy

tu część i uderzmy czołem przed szlachetną myślą wielkiego poety! Tego nędzarza, stojącego na najniższym szczeblu spodlenia, którego pstra nawet liberya jest godłem pogardy, — tę istotę upośledzoną, nie mającą — zdaje się — prawa, do żadnego własnego wzruszenia, — tego ofiarnego kozła oddanego katuszom bezustannej wesołości i śmiechu, — jego Szekspir podniósł z poniżenia, w jakim dotąd zostawał. Pod tym podłym kaftanem ukazał nam serce najszlachetniej bijące, — w tego błazna tchnął duszę zącą i wielką. Tak przeistoczony, trefnił nie jest już śmiechu niewolnikiem, lecz bohaterem. Ta nieprzeparta niczem wesołość, która przedrwiwa sprzysiężone żywioły, która zagłuszyć chce wściekłość burzy odgłosem swych dzwonek, — już to nie wymuszony humor zgłodniałego biedaka, ale niepokonana niczem werwa poświęcenia godnego podziwu. Nie on-to już od pana swojego odbiera jałmużnę, ale mu takową szczerem słowem udziela.

Noc nadeszła — jedna z tych nocy strasznych — w które

Lgnie do swych szczeniąt zsana niedźwiedzica, —
Lew i wilk, głodem ściśnięte, swe futra
Strzegą w suchości, —

Patrząc na ten przewrót w przyrodzie, myślałby kto, że świat fizyczny tak samo powstał przeciw odwiecznym swoim posadom, jak świat moralny. Straszny współnik córek Leara, uragan, łączy dzikie swe gwałty z ich barbarzyństwem. Ulewa plwa na białe te włosy, które znieważyla Goneril, — wicher biczuje sędziwe to czoło, które upokorzyła Regana. I oto, jak ten tułacz dostojny ciska firmamentowi wzniosłe swe przebaczenie:

Dmij, wicherze, szalęj i rozerwij paszczę!
Dmij, wściekaj się! A wy, ulewne spusty,
Lejcie, orkany, — aż pod wieżę szczyty
Zapłuszcza wody, — i zatopcie statki!
Siarzyste ognie, co na skrzydłach myśli
W gromkich piorunach rozśelacie gońców,
Groźnym pociskiem dęby targających,
I moją siwą wraz głowę roztrąćcie!
A ty, posady wstrząsający gromie,
Rozplaszcz spłowiłą potoczystość ziemi,
Zniszcz pył natury, — rozmieć zaród wszelki,
Z którego człowiek niewdzięczny powstaje!
Grzmij wciąż bez końca! Pluj ogniem leś deszczu!
Deszcz, wiatr, grom, ogień nie są moje córki!
Ja was, żywioły, nie skarzę o srogość,
Jam państw wam nie dał, jam was nie zwał dziećmi!
Nie macie dla mnie żadnych zobowiązań,
Wyście mnie nic nie winni! Straszna rozkosz
Wywrzycie na mnie — stoję tu, wasz jeniec,
Chory, złamany, pogardzony starzec!

Kiedy Lear tak strasznie urąga się burzy, nadchodzi Kent, który zawsze jeszcze pod suknią Kajusa ukrywa miłość i poświęcenie wygnańca. Donosi on, że w sąsiedztwie odkrył chatę i nagli pana swego, by do niej się schronił. Lear ulega tym naleganiom, mniej jednak przez wzgląd na siebie samego, jak przez troskliwość dla błazna:

....Pójdź, chłopcze, powiedz, jak się masz? czy zimno?
I mnie coś zimno! Gdzież, bracie, ta strzecha?
Dziwna potęga jest w potrzebach naszych,
Gdyż nam rzecz podłą łącno w drogą zmienia.
Chodź! Gdzież ten szalas? Biedny sługo, błaznie,
Mam cząstkę w sercu, co cierpi nad tobą!

Rzeczne-to słowa, które chciwie należy zaznaczyć, gdyż pierwsze są-to słowa litości, jakie wyszły z ust Leara. Pod wpływem nieszczęścia dusza Leara przeistacza się i oczyszcza; — twarda skorupa serca jego rozgrzewa się, mięknie. Mało pomału ujrzymy, jak zostające dotąd w ukryciu cnoty wydobędą się na jaw, — jak rzeczywiste przymioty, w jakie go uposażyła natura, a którym pycha nie pozwalała dotąd udziału w jego czynnościach, ukazują się naszemu zachwyconemu wzrokowi. Sztuczny egoizm, który niegdyś poniżał jego charakter, ustępuje nareszcie miejsca wrodzonemu uczuciu miłosierdzia. Któżby się spodział takiej metamorfozy? Ktoby przypuszczał, że współczucie jest możliwym w tem sercu nieubłaganem, którego nie wzruszył płacz szlachetnej Kordelii? A jednak poeta podnosi nas tym zwro-

tem nieprzewidywanym! W niesłychanej swojej rozpaczy, jeszcze przechowuje się w sercu Leara „komórka, gdzie przebywa boleść nad biednym trefnieniem!“ Król zapomina o niewymownych własnych cierpieniach, żeby wspomnieć o dolegliwościach, jakie znosi jego błazen. Tkliwa jego czułość takich nabrała rozmiarów, że już własne męczarnie jęć nie wystarczają.

Odtąd już nie masz przeciwności, któraby nie znalazła odgłosu w odrodzonym sercu Leara; — nie masz boleści, któraby nie obudziła jego współczucia. Katastrofa, która straciła go z tronu, zbliżyła go z cierpieniami, jakich się przedtem nie domyślał, — więc też odtąd zmiłuje się wszystkich tych cierpień. Na widok lichy lepianki, do której Kent go prowadzi, myśli o nędzy, co się do niej schroniła, — o nieszczęśliwych, których ten szalas pałacem, — o wszystkich tych potępieniach, od urodzenia konających w tem piekle społecznym, którego sam teraz został ofiarą:

Nadzy nędzarze, gdziekolwiek jesteście
Pod chłostą burzy tej nielitościwej,
Jakże-to głowy wasze, nie pod dachem,
Jak ciała wychudzone, odzież w szmaty,
Ustrzeżę was przed tak straszną słotą?
O! niedość jam podobno na to zważa!
Więc przyjmij to lekarstwo, próżny zbytku!
Spróbuj pocierpieć, jak nędzarze cierpią,
Byś się nauczył na nich złać choć cząstkę
Dostaku twego, chroniąc tem niebios
Od niesprawiedliwości!

Tymczasem błazen, który wszedł pierwszy do chaty, wypada z niej cały przerażony: — w chacie jest duch, który sam się przeżywa biednym Tomkiem. Przestrach trefnisi łatwy jest do wytłomaczenia na widok strasznego zjawiska na progu chaty: — jest to istota wpół-naga, z twarzą błotem zmazaną, ze sterczącymi szczeciną włosami, z dzikiem wejrzeniem. Czy to zbieg jaki z domu waryatów? Czy opętaniec? Czyż może człowiek do tego stopnia być upośledzonym? Jaką niesłychaną przysgodą istota żyjąca, z ludzkim obliczem, tak nisko upadła?

Posłuchajcie tej smutnej historii, którą poeta związał na wieczne czasy z legendą o królu Learze. Nędzarnik ten, był niegdyś jednym z szczęśliwców tej ziemi; to Edgar, prawowity syn Glostra, syn książęcego przepychu i zbytku, który na zawsze zdawał się niedostępnym nieszczęściu. Ale w duszy jego tkwił zarodek męczeństwa, — jego prawość i cnota czyniły zeń łatwą zdobycz dla fałszu i zbrodni. Młodzieniec miał brata przyrodniego, brata naturalnego, Edmunda, który stanowił z nim sprzeczność uderzającą: — charakter dziki, rozpustny i chytry, którego jedyną było myślą, jakby z życia najhojniej korzystać. Z przekonania materialista, a z temperamentu zmysłowy, nie straszyl się żadną zbrodnią, byle tylko zaspokoić swe chuci. Oddawna już zazdrościł bratu świetnego dziedzictwa, a chcąc je sobie przywłaszczyć, snuje w głowie plan czarnej zdrady, podrobionem pismem zapewniając starego Glostra, że Edgar nastaje na jego życie. Łatwowierny ojciec, równie nieogledny jak Lear, naznacza cenę na głowę starszego syna, który, by ująć jego pogoni, ukrywa się teraz pod maskę waryata, tuła się po bezdrożach, wystawiony na ostateczną nędzę, łykając za pokarm wodne i ziemne żaby, ściennie i bagniste żmije, przepędzony od siola do siola, więziony i bity. I on to, z rozrzuconymi w nieładzie włosami, straszny, z pianą na ustach, staje na progu lepianki, do której Kent chce prowadzić starca.

Jakże tu nie podziwiać geniuszu poety? Z jaką-to sztuką połączył w jednej scenie dwa te wyjątkowe swą olbrzymością nieszczęścia! Z jaką potęgą skupienia potrafił zlać dwoisty ten dramat w jednym wspólnym wstrząśnieniu! Współczucie nieszczęść wzajemnych przyciąga do siebie w tej samej chwili w naszych oczach te dwie ofiary buntu przeciw naturze, młodzieńca i starca, — syna przekłętogo przez ojca i ojca wypędzonego przez córki.

I jakby na tem było niedosyć, jeden jeszcze cios dotyka nieszczęsnego króla: — widok Edgara dobiega do reszty już chwiejący się jego rozum, a starzec, pod wrażeniem udanego obłąkania, popada w prawdziwe, przeciw któremu już od dawna walczył bez przerwy. W Edgarze widzi przedewszystkiem ofiarę córek:

Czy własne córki także cię zawiodły
Na to pustkowie? — Niceś nie zachował?
Wszystkoś im rozdał? ...
Niechże więc wszystkie te gromy przekleństwa,
Które w przestworze na sklepieniu niebios
Wiszą złowrogo nad winą człowieka,
Wybłysną razem na głowy twych córek!

Po tej scenie niezrównanej, która jest jakby punktem środkowym dramatu, akcja rozszczepia się, a o-bie tragedye domowe, połączone przez chwilę w rozmowie wygnanego ojca i syna tułacza, rozchodzą się na nowo w równoległym swym biegu. Wszakże dwoistość akcji nie narusza w niczem jedności utworu. Jeżeli wypadki zachodzą różne, w idei pozostaje tożsamość, — a ten sam los, który sprawił nędzę Leara, stanie się również nieszczęściem Glostra przyczyną. Błędy przez nich popełnione są do siebie podobne, a Glostra zdrada Edmund, tak jak Leara Goneril i Regana. Analogia przewinienia sprowadza zarazem analogię w rodzaju kary, a równie jak Lear dotknięty został ślepotą umysłu, na Glostra spada oślepienie fizyczne. Niby zmrok złowrogi, zgęszcza się w nich atmosfera tej pierwotnej ich winy, a otuliwszy ich zwolna w swe cienie, pogrąża nakoniec w ciemności. Świat rzeczywisty odtąd jest dla nich zamknięty, a to światło, którego samouchcąc się wypierali, ucieka od nich na wieki; teraz już kroczyć oni muszą po świecie omackiem, jeden w nocy szaleństwa, drugi w nocy ślepoty.

Wówczas, ale wówczas dopiero, poeta dodaje im w pomoc owe dwa poświęcenia, na których się obaj nie poznali. Edgar przybywa w chwili, gdy Gloster, któremu książę Kornwallii własną zbrodniczą ręką wyłupił jedno oko po drugim, z rozkazu tegoż wypędzony zostaje ze swego zamku. Oślepienemu zatem starcowi służy za przewodnika, zbawionym podstępem ocala go od samobójstwa, i wybawia z rąk morderczych Oswalda. Wszakże wszystkie te szlachetne zabiegi nie uchronią Glostra od nieuniknionych przeznaczeń, bo gdy Edgar ulega nareszcie chęci zbyt naturalnej, żeby się ojcu dać poznać, starzec ostatecznego tego wstrząśnienia wytrzymać nie zdoła, a złamany radością, do której się miesza tyle boleści, umiera błogosławiąc swemu synowi.

Ze swej strony Kordelia, dowiedziawszy się od Kenta o nieszczęściach swojego ojca, na czele armii francuskiej nadbiega Learowi z pomocą. Dostojny obłąkany, przeniesiony szczęśliwie do jej obozu, spj w namiocie królewskim; stojąca przy jego wezglowie Kordelia cichym głosem bada lekarza, który wyraża nadzieję, że sen uspokoi wzburzony umysł chorego. Królowa Francji błaga bogów, by tę nadzieję sprawdzili i przebudzenia ojca czeka na kłęczkach. Słodkie akkordy muzyczne przegrywają stanowczą chwilę. Nareszcie starzec otwiera oczy. „Przemówcie doń!“ — mówi lekarz, lecz król zapytany przez nią, żali się w smutnem obłąkaniu:

Wy mnie krzywdzicie, wyjmując mnie z grobu!
Tyś duch w błogości, — a jam w ognia koło
Wpleciony, tak iż własne łyż mnie parzą,
Jak ciekły ołów.

„Jeszcze się nie ocknął — tłómaczy lekarz — zostawcie go przez chwilę w spokoju.“

Gdzież byłem (woła Lear, gdy już go nie obstępują) —
Gdzie bym? Gdzie jestem? Urocz dnia światło?
Nie! ja się łudzę! Umarłbym z litości,
Gdybym tak kogo miał przed sobą. — Nie wiem,
Co mam powiedzieć — i nie śmiałbym przysiądz,
Że to są moje ręce. Ha! zobaczmy!
Doprawdy — czuję to ukłócie szpilki!
Ach! chciałbym raz już wiedzieć, co się ze mną
Też dzieje!

„Panie! — woła nagle Kordelia — na mnie tu spojrzycie: —

I dłoń wasze tak złóście nademną
Do błogosławieństwa!

Przed tem anielskim widzeniem Lear chce paść na kolana. Kordelia powstrzymuje go: — „Nie kłękajcie, panie! O! nie!“

Nie urągaj — mówi Lear — błagam!
Jam sobie biedny i dziecinny dziadek,

Staruszek przeszło osiemdziesiąt letni,
Ni mniej, ni więcej... Strach mnie, mówiąc szczerze,
Żem ja nie całkiem jest przy zmysłach. Ciebie
I tego pana, zda się, znać winienem,
Choć pewny też nie jestem; nawet nie wiem
Co tu za miejsce, a gdy swą przytomność
Zebrać chcę całą, przecz nie przypominam,
Zkąd się te szaty moje wzięły, ani
Ostatnią gdzie tę mogłem noc przepędzić?
Och, proszę was, nie śmiecie wy się ze mnie,
Bo, jakem człowiek, ciągle mi się zdaje,
Że pani ta, to moja własna córka
Kordelia.

KORDELIA.

Tak jest! tak jest, drogi ojcze!

LEAR.

Co? czy ty łzami płaczesz? tak jest! płaczesz!
O proszę, nie płacz! Jeśli masz truciznę
Dla mnie, to i ja, — ja ją wypiję. Wiem ja dobrze:
Że mnie nie kochasz, bo pamiętam, siostry
Mnie twoje udręczyły, a przyczyny
Nie miały żadnej — ty zaś masz przyczynę.

„Nie! żadnej!“ woła płacząc z radości Kordelia,
bo nie ma już wątpliwości, że Lear do zdrowych
zmysłów powraca. W uniesieniach zachwyty już
ułożyła sobie cały plan szczęścia: już się widzi w du-
chu siedzącą u nóg ojca, na stopniach tronu, który
dlań odzyskała, — widzi Leara na nowo panem swo-
jego królestwa, widzi jak go ze czcią słucha cały
naród na klęczkach. Kordelia wierzy w Opatrzność
bogów łaskawych, którzy dziś przywróciwszy królo-
wi zmysły, jutro mu oddadzą koronę.

Tak marzy Kordelia, lecz czystość jej duszy raz
jeszcze bolesny gotuje jej zaród. W dniu walki
stanowczej, obrońcy miłości dziecięcej pokonani zo-
stają przez zastępy bezbożnych. Ojciec, Edmund,
jako wódz dwóch siostr i obu kochanek, od-
nosi zwycięstwo, a w jego tryumfalnym orszaku wi-
dać okutych w kajdany Leara z Kordelią. Słowa
jej, to już anielski głos męczennicy:

Nie nam to pierwszym paść w najlepszej sprawie.
O biedny królu, twoje mnie nieszczęście
Zasmuca tylko! Mój mnie los nie straszy!
A córek tych i siostr nie zobaczymy?

LEAR.

Nie, nie! Nie! idźmy dalej do więzienia,
Tam sobie dwoje składać będziemy piosnki,
Jak ptaszki w klatce. Gdy zapragniesz mego
Błogosławieństwa, ja przed tobą padnę
Wraz na kolana, błagać przebaczenia.
Tak czas przeżyjem, przemodlim, przenućmy;
To stare będziem przypominać baśnie,
To się ze złotych uśmiejem motyli!...

Jakiś człowiek z miną złowroga towarzyszy do
więzienia staremu królowi i jego córce; — to skry-
tobójca, którego nasela im Edmund, ale książę Al-
banii chce ich ocalić. Który z obu wodzów posta-
wi na swoim? Wypadki, które się gnają z gorącz-
kową szybkością, przedłużają naszą śmiertelną oba-
wę. Książę, ostrzeżony tajemnie, każe uwiezić Ed-
munda, który w znowie z Gonerilą, czyhał na jego
życie. Zdemaskowana księżna przebija serce szty-
letem, wprzód jednak zadawszy truciznę swojej ry-
walce Reganie. Edmund, obu kazierny kochanek,
wyzwany do pojedynku przez brata swojego Edgara,
pada raniony na śmierć, — lecz zanim umiera, skru-
szony wyznaje, że wydał rozkaz zamordowania Lea-
ra z Kordelią.

Niestety! za późno! W głębi sceny odzywają się
jakieś jęki rozpacz — to głos króla Leara... Sta-
rzec nadchodzi dźwigając na rękach uduszoną Kor-
delię.

O wyjcie! (woła) wyjcie! wyście wszyscy
Z kamienia! Gdybym tylko wasz miał język
I wasze oczy, takbym je wyteżył,
Żeby sklepienia pękały niebieskie.
O! już na zawsze martwa! Ja wiem dobrze,
Czy kto jest żywy, czy nie żywi! Martwa, martwa,
Jako ta ziemia! Dajcie mi lusterko!
Jeżeli technienie parą albo plamką
Na tle osiadzie, znak że jeszcze żyje..
Lada psa, konia i marnego szczura
Trzyma się życie — a ciebie już całe
Odbiegło technienie! O! już nam nie wróciś
Nigdy i nigdy, — już nigdy i nigdy!
Proszę, pętlę tu mi rozepnijcie!

Dzięki wam, panie! Wszak; i wy widzicie?
Spojrzyjcie na nią — patrzcie! o, te usta!
Tu, tutaj patrzcie!

I to mówiąc, zionie ostatnie technienie, ściskając
oburącz trupa swęj córki. Umiera, odzyskawszy go-
dność ojca i godność człowieka, do której z głębi
próżności i samolubstwa wydobyło go i oczyściło
cierpienie, — umiera tedy, jako ofiara bezbożnej nie-
wdzięczności swych córek, zarazem jako potężny
i wzruszający przykład uszlachetniającej siły niesz-
częścia — i (jak każdy zapewne, po wysłuchaniu
smutnych jego kolei, zawoła wraz z wiernym Ken-
tem;)

Ten mu wróg, kto dłużęj

Chciałby go trzymać na srogich torturach
Twardego świata...

W samęj rzeczy też widz przejednany, pomimo że
cnota nie odniosła tu jeszcze należnego tryumfu, pa-
trzy na spadającą zasłonę, bo czuje, że dla Kordelii
i Leara przygotował geniusz poety tryumf świetniej-
szy w sercach czułych i wzniosłych.

* * *

I znowu uleciała przeszło godzina, a do drugiego
dramatu, który zamierzylem sobie rozebrać w obec-
nym odczycie, do *Kupca Weneckiego*, ani już przy-
stąpić dziś nie śmiem. Mówiąc o arcydziełach Szek-
spira, nie jest się nigdy panem wzruszenia i czasu —
przedmiot przez się olbrzymi, rośnie pod ręką za la-
da jego dotknięciem, bo dobrze weni się wpatrzywszy,
tyle nowych na każdym kroku ukazuje się, powsta-
je — tak jest — nawet *powstaje* piękności, w szcze-
gółach wykonania, w charakterystyce, w intuicji
wszystkich wstrząśnień i motywów działalności ducha
ludzkiego, że oprzeć się nie możesz pokusie,
by do tylu kwiatków zebranych już, i jako tako uwy-
datnionych, i tego jednego jeszcze nie uszczknąć.
Dla tego, prosząc Szanownych moich Słuchaczy
o przebaczenie za niewypełnienie zapowiedzianego na
dzisiaj programu, rzecz o *Kupcu Weneckim* zmuszo-
ny jestem odłożyć do następnego odczytu *).

Korespondencja z Paryża.

Pomiędzy tutejszemi lekarzami homeopatami, po-
wstało wielkie oburzenie na fakultet medyczny
uniwersytetu w Lipsku, za odrzucenie zapisu 16,000
talarów przez jakiegoś zmarłego kapitalistę, w celu
utworzenia tamże katedry homeopatji. Oburzenie
to podziela i inni światli medycy nie należący do
zwolenników homeopatji, dowodząc bardzo słusznie,
że każda teoria oparta na zasadach naukowych,
choćby najśmielszych i najniezwykłych, ma
prawo do opieki i poparcia. Prawda że homeopatja
zagroza ruiną całej medycynie, farmacji a w części
i zbyt pochopnej chirurgji do bolesnych operacji,
nie można jej jednak nazywać mrzonką ideologów.
Musi tam być wiele prawdy, skoro nie posiadając a-
ni oddzielnych fakultetów przy uniwersytetach, ani
opieki ciał zbiorowych naukowych, potrafiła dobić
się aż do dzisiejszego swego stanowiska.

Znam ludzi których niewyleczyła żadna teoria
medyczna: ale znam i takich co opuszczeni po kil-
kuletnim leczeniu przez allopatów, przez homeopa-
tów do zupełnego zdrowia przywrócić zostali. Znam
wreszcie utrzymujących z najsilniejszym przekonani-
em, że pewni są iż sami najzagorzalsi lekarze ho-
meopaci, nie wierzą w swoją teorię, tylko czepiają
się jej jako nowości, przy pomocy której spodziewają
się lepszego powodzenia jakiego przy porzuceniu
przez siebie systemacie, nie mogli otrzymać. Jest
to więc chaos zdań, opinji, faktów, domagających
się gwałtem uporządkowania i dochodzenia o ile
w nich wszystkich mieści się prawdy. Los nowych
teorji rujnujących już uznane, zawsze jest pełen gło-
gów, cierni, prześladowania: nałóg ważną tu od-
grywa rolę a i nie mniejszą interes własny. Z pie-
destału wielkości, nie schodzi się łatwo: na po-
nątnej tej wyżynie miłość własna każdy cios na zdo-

*) Dwie prelekcje następne: trzecia i czwarta, w których
mieści się rozbiór „Kupca Weneckiego“ drukowane są
w *Kłosach*.

Przyp. Red.

byte stanowisko odrzuca z pogardą, i nie pozwala
przyjrzyć się mu rozważnie. Co wieki budowały
i ugruntowały, co cała ludzkość uznała i za prawdę
przyjęła, w proch nie rozsypuje się tak łatwo. Ho-
meopatja pragnie to skutecznie, nie więc dziwnego
że tysiące ciska na nią kamienie.

Nie mam zamiaru bliższego roztrząsania tej tak
ważnej kwestji. Nie jestem medykiem, ani też zwo-
lennikiem allopatji lub homeopatji: i jedną i drugą
przyjmuję jako złe konieczne, ale ile razy myślę
o homeopatji, tyle razy dwie sprzeczne myśli przy-
chodzą mi do głowy których sobie żadnym sposobem
wyjaśnić nie mogę. Pierwszą jest sam Hanneman
twórca tej teorji, który dobiwszy się jako medyk
sławy i znaczenia, po stracie żony i dzieci prawie
jednocześnie, zrozpaczony zawodem nauki jakiej
był wyznawcą, uznał ją za błędną i stworzył ho-
meopatję. Zwolennicy jej przypisują to geniuszowi
Hannemana opromienionemu natchnieniem Bożem:
przeciwnicy obłąkanu wywołanemu rozpaczą po do-
znanych stratach. Z kąd taka sprzeczność?

Obłąkanie naukowe w podobnych wypadkach mo-
że nastąpić, ale nie zyska zwolenników a przynaj-
mniej ograniczy się do kółka bliższych bez sukcesyj-
nego przekazywania go następcom. Może wreszcie
zająć umysły, ale chwilowo, dopóki doświadczenie
nicości jego nie wykaże. Tu przeciwnie się stało:
w miarę lat ubiegających nowa teoria zatacza coraz
większe koło swęj działalności, a homeopatów choć
podnoszono na nich ramion, nie nazywamy już war-
jatami. Dawniejsza wiara w owych sławnych le-
karzy z natchnienia zniknęła i ich samych już dziś
prawie nie mamy: widocznie więcej tam było oszust-
wa jak bezwiednego działania jakoby magnetycz-
nego, skoro tak bez śladu i bez żalu z pomiędzy nas
przepadli. Dla czegoż podobnie nie stało się z ho-
meopatją? Oto Hanneman był mędrce, powiada-
ją, i takim pozostał do ostatniej chwili późnego ży-
wota, którego prawie trzecią część poświęcił nowęj
swęj teorji i licznym z nięj wynikłym doświadcze-
niom. Do pracy swęj powołał wielu uczniów, i na
nich i na sobie badał skutki różnych medykamentów
zastanawiał się, dociekał, porównywał, poprawiał,
wypadki i z tego dopiero utworzył dzieło, co całą
medycynę na inną zupełnie wprowadzi drogę. Han-
neman więc nie mógł być oszustem tymbardziej
obłąkanym.

W teorji jednak jego jest pewna strona niejasna,
stanowiąca sam grunt homeopatji. Mamy tu na
myśli maleńkość dozy, która w miarę zmniejszania
się nabiera coraz większej potęgi. Tak w allopatji
jak i w zwyczajnem życiu, przyzwyczajeni do innego
stosunku, nie możemy pojąć jak coraz mniejsza ilość
może coraz silniejsze wywierać działanie. Wiadomo
że do 99 ziarenek wielkości maku mlecznego cukru,
dodane jedno takie same ziarenko jakiego me-
dykamentu i rozcierane przez dwie godzin, tworzy
lekarstwo homeopatyczne najsłabsze, pierwszej po-
tęgi. Jeżeli z tak przygotowanego lekarstwa, wzię-
wszy jedno ziarenko dodamy znowu do niego 99 zia-
renek mlecznego cukru i rozcierać to wszystko bę-
dziemy także przez dwie godzin, utworzy to potęgę
drugą tego samego lekarstwa, ale już silniejszą.
Tym sposobem otrzymują się następne potęgi coraz
wyższe zawsze do jednego ziarneczka z ostatniej po-
tęgi dodając 99 ziarneczek mlecznego cukru, i tracę
to przez dwie godzin. Liczba więc potęg jest nie-
ograniczona; w aptekach homeopatycznych dochodzi
do 400 i 500, najwięcej jednak są używane lekar-
stwa podobno 45 potęgi. Rozdrabnianie takie pier-
wszej ilości medykamentu na tysiące tysięcy a na-
wet milionów cząstek, nie dających się nawet pojąć
w swęj malenkości zdaje się je niszczyć zupełnie,
jakim więc sposobem może być działające i to coraz
silniej w miarę swego rozpraszania się? Zwiększa-
nie tej siły ma być następstwem tarcia. Homeopaci
powiadają, że przez tarcie pierwsza jedna setna le-
karstwa, rozbija się na coraz większą ilość atomów,
że tym sposobem wydobywa się siła utrzymująca je
w skupieniu, posiadająca charakter działania od-
powiedni rodzajowi użytego lekarstwa. Jaka jest
ta siła, na to nie dają żadnej odpowiedzi, tylko do-
świadczeniem dowodzą, że się zwiększa w miarę tar-
cia. Nazywają ją podobne duchem lekarstwa i Han-

neman do tarcia tak wielkie przywiązywał znaczenie, że nawet klócenie lekarstwa przed zażyciem, do trzech poruszeń ograniczył dowodząc, że przekonał się, iż większe klócenie jest szkodliwe, bo po większą siłę.

Wszystko to rzeczywiście jest niejasne i niepojęte, lekceważyć go jednak nie można. Ciągły rozwój coraz większy homeopatii, pomyślnie wypadki leczenia za jej pomocą, zdają się jasno przemawiać, że jest w niej jakaś prawda ukryta, godna naukowego badania. Sił natury tak jeszcze mało znamy, tak ich dziś może być jeszcze wiele tajemniczych, że każdy domysł nowój siły na doświadczeniu oparty, przez naukę niepowinien być pogardzany. Dla tego czyn fakultetu medycznego w Lipsku, odrzucającego bogaty zapis, aby nie utworzyć katedry homeopatii jest nagannym, i nie dziwnego że nawet światłych paryżkich medyków allopatów oburzył. Pogarda taka nie przekona nikogo o nicości nowój teorii, jeżeli ta rzeczywiście jest niczem: badania, doświadczenie i nauka jedynie tego mogą dopełnić, i tego zarówno ludzkość jak homeopja ma żądać prawo.

Powiadają, że Lipsk sławny jest z nienawiści i pogardy z jaką medycy tamtejsi traktują homeopatię. Miejskowa homeopatyczna gazeta, nie wdając się w żadne sprzeczki, ogłasza fakta najdzielniej popierające zasadę której służy. Jak też fakultet medyczny odrzucił zapis, wkrótce w kolumnach Gazety pomieszczono doniesienie, że w Peszcie na posiedzeniu miejskiej reprezentacji, komisja zdrowia wniosła poparcie, w przedmiocie zaprowadzenia przy uniwersytecie Peszteńskim osobnej katedry homeopatycznej w połączeniu z oddzielną kliniką. Petycja ta wraz z silnie przemawiającymi motywami zatwierdzoną została, i komitet homeopatyczny został upoważniony do ułożenia projektu, co do udzielania biednym pomocy. Tak więc Peszt Lipsk zawstydzil.

K. Gre.

KRZYŻOWE DROGI

POWIEŚĆ

składana w listach czterech autorów.

Pani Girardin	Irena de Chateaudun
Teofil Gautier	Edgar de Meilhan
Juliusz Sandeau	Rajmund de Villiers
Méry	Roger de Monbert.

(Dokończenie.)

LIST XXXV.

EDGAR DE MEILHAN DO KSIĘCIA DE MONBERT.

poste restante w Rouen.

Paryż 18 Sierpnia 18...

To o czém ci doniosłem wczoraj, jest bardzo nieprawdopodobnem. Jeżeli sądzisz że to już wszystko, to się mylisz bardzo. Jest to dopiero połowa historyj. Ręka mi drży z gniewu, a pióro łamie się na papierze. Zakończenie jest dopiero uwiecznieniem okropności i fałszu. Była to zdrada podwójna; żartowano z nas obydwóch, z ciebie jako z narzeczonego, ze mnie jako z kochanka. Wszystko to wyda ci się bez związku i sensu jak senne marzenie. Cóż bowiem mogę mieć wspólnego z Ireną, którą nie widziałem nigdy? Ale cierpliwości, przekonasz się!

Mój wierny Józef dowiedział się, że ślub ma się odbyć w Kościele Ś-tój Magdaleny, o szóstej rano. Byłem tak rozdrażniony, niespokojny i dręczony jakimś złowieszczym przecuciem, że nie chciałem iść.

O oznaczonej godzinie wyszedłem otulony płaszczem, bo choć to lato, było mi zimno; jakieś dreszcze febryczne porwały mnie chwilowo. Błędem, przeczując awanturę.

Kościół Ś-tój Magdaleny rysował się zdaleka na ciemnem niebie porannem. Jakież figury podejrzanej trzeźwości ukazywały się na rogach ulic. Ruchu jeszcze nie było. Sądziłem, że przybywam za wcześnie, ale powóz ciemnego koloru bez herbów i cyfr, strzeżony przez służącego w ciemnej liberji, stał na zakręcie alei dochodzącej do Kościoła. Wszedłem do świątyni krokiem niepewnym, w jednej z bocznych kaplic, zobaczyłem światło i księdza przed ołtarzem odprawiającego mszę świętą.

Panna młoda oparta o poręcz fotelu zdawała się modlić gorąco; pan młody jak gdyby nie był najpodlejszym z ludzi, z podniesionem czołem, promieniał szczęściem. Ceremonja kończyła się, Irena podniosła głowę, ale stałem tak, że nie mogłem rozróżnić jej rysów.

Oparłem się o filar, i czekałem by przechodzącej powiedzieć kilka słów ostrzych jak cięcie sztyletu Weneckiego, co się łamie w ranie, zabija, a nie krwawi. Irena zbliżała się z wolna oparta na ramieniu Rajmunda, chód jej był wymierzony, lekki, jakby stąpała po obłokach nie po zimnym marmurze. Odrzucała się od ziemi, szczęście ją unosiło.

Na kilka kroków przed filarem po za którym się ukrywałem, jakaś iskra elektryczna musiała jej dać znać o mej obecności, bo zadrżała jakby przeszyta strzałą niewidzialną, odwróciła szybko głowę; promień słoneczny oświecił jej twarz i poznałem w Irenie de Chateaudun Ludwikę Guérin, w bogatej dziedzicze, kolorystkę z Pont-de-l'Arche. Irena i Ludwika, to jedna i ta sama osoba!

Byliśmy obydwaj wystawieni na żart okrutny. Opowiadaliśmy sobie o naszej miłości, nadziejach i smutkach. To bardzo komiczne, ale przeciw zwyczajowi; tragedia będzie następstwem wesołej farsy, a tak ją dobrze odegramy, że nikt nie będzie miał ochoty rozśmiać się z nas. Z rzeczy śmiesznej na pozór, zrobiliśmy straszną.

Panno Ireno de Chateaudun, wyobraziłaś sobie, że można żartować bezkarnie z ludzi takich, jak książę Roger de Monbert i Edgar de Meilhan, że z tego nic złego nie wyniknie, że dostatecznem będzie powiedzieć im: „Kocham innego.“ A ty panie Rajmundzie sądziłaś, że uznanie twój cnotliwości jest takie, że nawet zdrada z twój strony, uważaną będzie za poświęcenie! Nie, nie, w dramacie w którym wielka dama była awanturnicą, udaniem niewiniątkiem, istotą bez czci i wiary, bohater jest zdrajcą, bo inaczej nie byłoby harmonji.

Krzyk chrapliwy wydobył się z mych piersi. Irena ścisnęła konwulsyjnie ramię Rajmunda i wyszła spiesznym krokiem z kościoła, Rajmund nie zrozumiałszy tego wszystkiego pośpieszał ciągniony przez nią. Powóz się zbliżył, wsiedli oboje; woźnica zaciął konie, wszystko zniknęło z przed mych oczu.

Ireno, Ludwiko! jakiegokolwiek jest twoje imię, lub maska, nie będziesz długo panią de Villiers; blizkie wdowieństwo pozwoli ci zacząć na nowo twoje manewry. Żałuję bardzo że zamiast ciebie muszę osiągnąć kogo innego, boś ty zasłużyła na karę śmierci.

Edgar de Meilhan.

LIST XXXVI.

ROGER DE MONBERT DO HRABIEGO DE VILLIERS.

w pałacu de Villiers (Crencé).

16 Sierpnia 18...

Panie!

Dziś rano wstawszy, zabieram się do przesłania ci w formie apologu, anegdotki, z jakiejś będziesz mógł wyciągnąć korzyść.

W podrózach moich spotkałem człowieka bardzo szanownego.

Byłto Kreol z kolonii Port-Natal nazywał się Smolett!

Chodziłem często na polowanie w stronę gdzie mieszkasz: prosiłem go nawet dwukrotnie o gościnność. Przyjął mnie sposobem dwuznacznym, prosił do swego stołu, mówił mało, częstował winem, nie przyjął podanej sobie przezemnie ręki, ofiarował mi swe łóżko.

Z Port-Natal pisałem do tego dzikiego człowieka dwa razy, tytułując go: *Drogi przyjacielu*. Nie mogąc mu nadać tytułu szlacheckiego; nadałem mu życziwy, mówiąc: drogi przyjacielu. Nie odpowiedział na moje listy. Bo też o nie nie pytałem, nie było więc na co odpowiadać.

Spotkawszy jednego wieczora Smoletta, pod drzewami Port-Natal zbliżyłem się do niego, podając mu rękę. I tą razą, ręka jego nie dotknęła mojej. Okazałem niechęć.

— Panie! powiedział dziki, zdajesz mi się być dobrym dzieckiem, młodzieńcem szczerym, bardzo mało europejskim. Trzeba cię więc oświecić. Nazwałś mnie dwa czy trzy razy, swym przyjacielem; mogłoby cię to drogo kosztować, a ja byłbym w rozpacz: Nie jestem bowiem twym przyjacielem ani nikogo... przeciwnie... Unikaj mnie pan; unikaj mego sąsiedztwa i mego mieszkania. Odbierz zaufanie, jakim mni darzyłeś z lekkomyślnością podróżnika. Żegnaj. To pożegnanie było wymówione z uśmiechem i spojrzeniem dzikiem, co nie wzbudzało wiele ufności. Dopytywałem się na wszystkie strony o Kreola Smoletta, i wreszcie ciekawość moja była zaspokojona. Ten szanowny człowiek był po prostu bandytą z professji.

Zdaje mi się panie de Villiers, że postarasz się zrozumieć treść tego apologu. W każdym jednak razie dodam jeszcze słów kilka, aby dopomóc twój nainwnej inteligencji.

Byłeś zawsze mym przyjacielem, nie wypierałeś się nigdy tego tytułu: ręce twoje ścisnęły moje, przy każdym spotkaniu, nieprawdaż?

Jednem słowem, oto historia twój przyjaźni; usprawiedliwiła me zaufanie i byłbym bardzo niewdzięcznym, gdybym cię mniej szanował jak owego Kreola.

Ułożyliście wraz z panią de Braimes przeciwko mnie intrygę domową pełną elegancji i ohydy. Nazwyczajcie to zapewne po prostu współką; a ja daję temu nazwę ohydliwego przestępstwa. Słyszę z tąd szyderstwa złośliwe i śmiechy szalone jakieście zapewne łączyli z mem nazwiskiem. Uszczęśliwia mnie to tylko że między temi dwoma przyjaciółmi, jeden jest mężczyzną: bo jakiegoż zadosyć uczynienia mógłbym żądać od kobiety.

Byłeś zawsze dla mnie nadzwyczaj uprzejmym. Kiedy szukałem panny de Chateaudun z troskliwością ślepą i szaloną, pomagałeś mi litościwie w tych wszystkich poszukiwaniach. Byłeś mym przewodnikiem, busolą i wsparciem.

Prowadziłeś mnie na wszystkie te drogi jakimi Irena nie miała przejeżdżać; droga twoja była tak dobrze wyrachowana, że w końcu poszukiwań, sam znalazłeś to, czegośmy obydwaj napróżno szukali. Jakże ci się to musiało wydać zabawnem; musiałeś pan wraz z panią de Braimes uśmieć się z tego dośkonale?

Doprawdy, jesteś Pan starszym nad swój wiek; wychowanie twoje nieograniczyło się na samą greczyznę i łacinę; nabyłeś wiadomości i talentów, które potrzebują długich stułów i doświadczenia świata cywilizowanego. Grasz wybornie wyższą komedję, a gdybyś miał więcej nieco ambicji mniej skromności, mógł byś wystąpić w scenie jeszcze ważniejszej. Dotąd ja sam tylko oddaję ci poklask, sam stanowią całą publiczność. To doprawdy szkoda! Trzebaby rozprzestrzenić scenę, nie znasz się jeszcze, przypatrz się więc dobrze sam sobie. Odgrywasz zdziwienie, bezinteresowność, wspaniałość, wielkość duszy, i całą plejadę innych jeszcze cnot wykwitłych jak kwiaty w ogrodach złotego wieku. Jesteś komedjantem skończonym. Gdybyś miał w sercu, wszystkie te cnoty jakimi się zdobisz pozornie, nieboby było zazdrosne o ciebie jak niegdyś o Enocha i byłbyś żywcem z pośród nas zabrany. Człowiek tak silnie moralny jak ty, byłby klęską dla zepsutej ludzkości; upokarzałby za nadto swych bliźnich, a zatem będziemy bardzo radzi uznać cię tylko komedjantem.

Pozwól zrobić sobie jedno jeszcze pytanie. Czy odwaga jest także cnotą dającą się udąć choćby jej nie było w sercu. Chciałbym bardzo wystawić cię na próbę, jako komedjanta odważnego. Czekał

odpowiedzi, jestem zmuszony zrobić ci zniewagę, myśląc, że tego ostatniego talentu brakuje w twym zbiorze. Chciejże więc zaprzeczyć jak najprędzej méj wątpliwości i pokaż się komedjantem zupełnym. Twa przywiązana publiczność.

Roger de Monbert.

LIST XXXVII.

EDGAR DE MEILHAN DO HRABIEGO DE VILLIERS.
w zamku de Villiers (Creuse).

Paryż 10 Sierpnia...

Szlachetny hidalgo, znakomity rycerz z la Manche, ty co tak lubisz awantury i czyny rycerskie, przychodzę zrobić ci propozycję, jaka ci się zapewne spodoba. Oto żądam z tobą walki na żelazo, czy strzały: bez litości, do śmierci. Wiem napróżd co odpowiesz.

Twa znana wspaniałomyślność nie pozwoli bić się z przyjacielem.

Ale ja nie jestem twym przyjacielem: zdrajcom nie robi się takiego honoru. Niech cię więc ten wzgląd nie wstrzymuje, delikatna osobo!

Maska twa spadła, drogi Tartufie pięknych uczuć. Wiedzą teraz do jakiej cyfry się poświęcasz. Przed wyciąganiem Angielek z płomieni lub przepaści, dowiadujesz się o ich położenie socialne. Wybawiasz przyjaciół z bankructwa, biorąc dwadzieścia cztery od sta procentów a udając miłość dla gryzетки masz w kieszeni wykaz jęj dochodów, wraz z herbami. Przyjechawszy do mnie, wiedziałeś że Ludwika jest Ireną. Dowiedziałeś się o tych szczegółach u pani de Braimes, podczas swęj interesującej choroby. Wszystko to może się wydać innym naturalnem ze strony tak cnotliwego śmiertelnika jak ty. Co do mnie nie jestem tego zdania: postępowanie twoje wydaje mi się nikczemnem, niegodnem i podłym.

Jest to zdanie, którebym objawił głośno, gdziekolwiek bym się z tobą spotkał, policzkując cię przytem i plując ci w twarz. Mam nadzieję że mi oszczędzisz téj nieprzyjemności i przyjdiesz stanąć w obec méj szpady czy pistoletu, stosownie do twego wyboru. Proszę cię tylko niechciej być wspaniałomyślnym, nie celuj w powietrze: wcale by mnie to nie wzruszyło i zabiłbym cię jak psa. Zawadzasz mi na ziemi a ja nie poświęciłem się moralności w czynie.

Edgar de Meilhan.

LIST XXXVIII.

HRABIA DE VILLIERS.

DO PANÓW ROGERA DE MONBERT I EDGARA DE MEILHAN.

Villiers 18 Sierpnia 18....

Porzućmy tę polemikę niegodną was i mnie. Jesteś myslachcą, przodkowie nasi robiąc sobie honor jaki wy mnie robicie, wyzywali się, ale nie znieważali. Gdybym miał do czynienia z jednym z was, tobym się może postarał wprowadzić go na drogę rozsądku. Ale jest was dwóch, przybywajcie czekam was.

Hrabia de Villiers.

LIST XXXIX.

Villiers 21 Sierpnia 18....

Już od dwóch dni zabieram się pisać do ciebie, ale jestem tak wzruszona i niespokojna że nieśmiem wypowiadać mych myśli, tak są szalone i w takim nieładzie. Wszak ci niedawno powiedziałam, że szczęście przeraża, wszystko jest groźbą i niebezpieczeństwem w tak słodkim zachwyceniu! każde słowo napelnia mnie strachem; list przyniesiony niespodzianie pisany ręką nieznaną, wizyta nieoczekiwana, wszystko mnie przeraża; Rajmund łaje mnie za to czule, i pyta dlaczego jestem smutną?

— Bo jestem nadto szczęśliwą, odpowiadam mu; a on nie uznaje tego za słuszną przyczynę. Dla rozrywki prowadzi mnie na łąki i do lasu, opowiada

o swem dzieciństwie, o pięknych marzeniach młodego wieku i zapewnia iż rzeczywistość przeszła wszystkie jego oczekiwania, powiada że nigdy nie spodziewał się spotkać na téj ziemi kobiety takiej jak ja, że aby być przezemnie kochanym jeden dzień jedną godzinę, oddałby chętnie całe swe życie, a ofiarę tę uważa jeszcze za małą. Widząc go tak rozradowanym nie śmiem objawiać méj bojaźni; przy nim zapominał nawet o nię: on ma tyle zaufania w przyszłości, że i mnie się ono udziela. To też jak jest przy mnie jestem spokojną i pewną... Ale jak się tylko oddali, jak zostanę sama, z memi szalonymi myślami, tysiące widm zjawia się i grożą mi straszliwie.

Obwiniam się że byłem nierozważną i okrutną, nie obwiniam się oto żem, jak ty mówisz, wzbudziła dwa uczucia gwałtowne, ale oto żem rozjątrzyła uczucia mściwe. Wiem dobrze że pan de Monbert nie kochał mnie, a jednakże obawiam się jego zarzutów niesprawiedliwych, przypominam sobie zabawne przeniewierzenie Edgara, a jednakże Edgar co dotąd wydawał mi się zawsze śmiesznym, ukazuje się teraz groźnym i nieublaganym. Jakieś złowieszcze wspomnienie mnie ściga. W dzień mego ślubu kiedyśmy po błogosławieństwie wychodzili z kościoła, jakiś głos stłumiony chrypliwy, wymówił me imię... imię jakie nosiłam w Pont-de-l'Arche: Ludwika!... Odwróciłam szybko głowę w stronę z kąd głos dał się słyszeć, musiał on być silnym, kiedy potrafił dojść do mnie w chwili takiego wzruszenia!.. Obejrzałam się w koło, nie zobaczyłam nikogo... Ludwika!... ileż jest kobiet z tem imieniem. Może to jaki ojciec wołał córki, lub brat siostry.

Nie było to nic szczególnego, ale krzyk ten przstraszył mnie. Przypomniłam sobie Edgara, w chwili kiedy był zagniewany na mnie: jego gniew malujący się w oczach; gwałtowna zmiana rysów, głos stłumiony i groźny, podobny do oboenie słyszanego i dopiero pojęłam ile było nienawiści i dumy w jego miłości. Ale powiedziałam sobie, gdyby to był on byłby poszedł za mną, by zobaczyć jakim powozem odjeżdżam, byłabym go widziała przed kościołem... A potem po cóż by tam przyszedł?

Gdyby mnie chciał zobaczyć byłby przyszedł do mieszkania pani Taverneau w Paryżu, wiedział że mieszkamy w jednym domu, spodziewając się że go przyjmę byłby przyszedł z wizytą...

Zresztą, jeżeli o szóstęj zrana był w kościele św. magdaleny, to nie po to by mnie szpiegować. A zatem człowiek co wołał Ludwika, nie był Edgarem, nie mógł nim być.

Te naprędce zrobione uwagi uspokoiły mnie. Badałam Rajmunda, nie widział nikogo, nic nie słyszał.

Powtarzałam sobie, że pana de Meilhan nie ma w Paryżu, że to szaleństwo tak długo myśleć o nim. Ale wczoraj, z listu pani Taverneau, która nie wie o moim ślubie i wyjeździe i nie dowie się aż za rok, dowiedziałam się, że pan de Meilhan wyjechał z Hawru, przybył do Paryża. Matka nie powiedziała mu że jeździłam z nią do niego. Wiedząc że do zatrzymania go we Francji dość jęj wpływu, nie wspomniła o mnie, za co niech jęj będą dzięki. Wolę że nie będzie wiedział o szlachetnej i szalonej myśli jaką powzięłam by go oddać matce.

A zatem, Edgar był w Paryżu w dzień mego ślubu i może... Ale nie... któżby go uwiadomił... Mieszkaliśmy o milę od parafii w której ślub brałam. To nie on... Jednakże, obawiam się tego człowieka. Przypominam sobie z jaką goryczą wspominał o Rajmundzie w jednym ze swych listów, pełnym niesprawiedliwych wymówek co mi przysłał w trzy dni po moim wyjeździe z Richeport.

W tym liście, który zaraz spaliłam, pisał że pan de Villiers ma się żenić ze swą kuzynką. Oh! jakże mnie ta wiadomość zasmuciła! Było to zerwane już od kilku lat, o czem pan de Meilhan wcale nie wiedział; mówił o tem dlatego by się zabezpieczyć, a jednakże w pochwałach jakie mu oddawał było pełno niechęci i zazdrości. Powiadał z prostotą nie obawiam się go, a jednak nienawidzę!

Dziś myślę o téj nienawiści, i to mnie przeraża. Z pomocą Rogera, dowie się wkrótce o wszystkim, dowie się że Ludwika Guérin i Irena de Chateau-

dun to jedna osoba, i obydwaj zjawiają się tu może, żądając zdania sprawy z mego postępowania...

Jak myślisz Walentyno, czy to by mogło nastąpić? Czyżby to nie było zabawnem, by ci ludzie co mnie tak niegodnie zdradzili, co tak sprofanowali mą pamięć, przyszli dziś mówić mi o swęj stałości i rościli prawa do méj miłości? Ah! mój Boże, czyżby mogli być zdolni do tego? Ale mężczyźni co do miłości mają zasady nader giętkie i wygodne.

Pod pozorem uczuć niezwykłych pobjażają sobie, dopuszczają się kłamstw niegodnych, bezwstydnich zapomnień i podłych profanacji. A nigdy im nie przyjdzie na myśl, że wiadomość o tem wszystkim może zachwiać naszą miłość. Mają oni nadto o godności kobiet dziwne pojęcie. Jeżeli zapomnieniem choć chwilowem zaprzysiężonej miłości znieważają, bezwstydnie kobiety szlachetne, które ich kochają z zapalem i poświęceniem, uważają to za drobnostkę nie godną nawet uwagi. Ale drobnostka ta to zarzewie przyszłej niewiary: gdy więc miłość zacznie się ulatniać z serca pod wpływem zawodu, to dziwią się temu i o zmienność, lekkość nawet o zdradę posądzają, zapytując naiwnie: co się stało z miłością wieki trwać mającą? Samoluby! Sami ją zabijając bezlitośnie oburzając się, że śmiała umrzeć od ich rąk!...

Ale po cóż się zajmować niemi, po co mówić o Edgarze i jego nienawiści, o Rogerze i jego złości? Przeznaczenie nie potrzebuje tych okropnych uczuć na zniszczenie naszego szczęścia. Najmniej znaczący wypadek, najmniejsza nierozwaga mogą posłużyć okrucieństwu; wszystko może być pomocą do zemsty, przeciw człowiekowi tak szczęśliwemu i tak kochanemu. Zimny chłód wieczorny po dziennym upale może mu sprowadzić śmierć: most rzucony na strumieniu, może się stać zdradliwym załamaniem i ukarać go za to, że na drugiej stronie czekają na niego z zawielką niecierpliwością: kof na którym siedzi może z łatwością przestraszyć się i unieść go, zdala od spojrzeń patrzących na niego miłośnic. Ale cóż ja mówię, nawet mały kamyczek jaki trzyma to dziecko bawiące się tam na trawie, rzucony przez nie w górę, nie byłaby dostatecznym narzędziem na zadanie śmiertelnego ciosu człowiekowi ukochanemu?

O! Walentyno ja się nie lędam: widzę niebezpieczeństwo. Cały świat buntuje się przeciwko tak czystemu szczęściu; społeczeństwo ściga je jako niesprawiedliwość; natura sama przeklina je bo za doskonałe; a każda doskonałość wydaje jęj się monstrualnością do niezniesienia. Jednem słowem, wszystkie żywioły powstają przeciwko dwom istotom które po długim szukaniu, znalazły się w końcu, przeciwko sercom połączonem harmonją idealną, niezwykłą. Ah! czuję to, że jesteśmy za nadto szczęśliwi. Śmierć na nas patrzy! boję się!

Czekam na śmierć bo mi życie powiedziało już ostatnie swe słowo. Czuję przed sobą wieczność i oczami duszy prawie w nią spoglądam.

O mój Boże! tracę głowę; nie wiem sama co piszę! Widoczne to jest moja Walentyno, że wszystkie wielkie wzruszenia są do siebie podobne; gorączki można dostać tak z radości jak z rozpacz. Doszedłszy do szczytu szczęścia, wiesz co widzimy u swych nóg?.. przepaść! ze wszystkich stron przepaść... Nie można odnaleźć stromęj drogi jaką się doszło do wierzchołka, nie ma sposobu powrotu, widać że z wysokości wrócić niepodobna; trzeba spaść. Jeden jest tylko sposób zachowania szczęścia; nie przyznać się do niego, bo ona lubi czasem przedstawiać z niewdzięcznym. Napróżno szukam spokojności w czynieniu ofiar, od ośmiu dni rzucam garściami złoto w okolicy, wyposażam dzieci, karmię biednych, zbogacam szpitale; zrujnuję się chętnie wsparciami szlachetnymi i darami, oddałabym z chęcią całe mienie dla okupienia spokoju. Co rano idę do kościoła i proszę Boga z zapalem by mi pozwolił jaką wielką ofiarę okupić me szczęście; proszę by wystawił na najtwardsze próby, upokorzenia, cierpienia nad siły; ale by mi zostawił choć kilka dni jeszcze Rajmunda i jego miłość.

Ale te łzy i prośby są daremne, on sam, nie zdając sobie z tego sprawy przeczuwa blizki koniec. Czystość jego duszy, wielkość charakteru, bez przy-

kładna prawość w postępowaniu są skazówkami przestraszającymi; te wzniosłe cnoty są symptomem konania. Rajmund nie ma w sobie żadnej słabostki ludzi przeznaczonych do długiego życia; nie miał udziału w żadnej złej namiętności teraźniejszego wieku, odsuwały się one od niego, jak od chwilowego przechodnia. Uważa życie za krótką pielgrzymkę nie wtajemniczając się w jego nędzę. Wszystko to są przymioty grobowe; trzymał się zawsze na uboczu przeczuwając bliski koniec, dlatego jest tak pewnym siebie, bo wie dobrze, że nie będzie walczył długo, jest tak dumny i rozradowany, bo czuje że odniósł już zwycięstwo...

Płacz nad nim, uwielbiając go. Bóg używa tylko chwili ziemskiego życia, takim boskim wzorom.

Niestety! czyż te przymioty piękne i szlachetne, za które go uwielbiam, mają być przyczyną cierpień i bojaźni? Czyż dla tego, że zasługuje być tak kochanym, jak nigdy nie kochano na tym świecie mam drzeć o niego. Walenty! czyż takie szczęście nie pobudza cię do litości? Dziś od rana męczę się okropnie, Rajmund opuścił mnie na kilka godzin, pojechał do Guéret; jedna z jego kuzynek wracając z wód Néris, miała tam przejeżdżać koło dziesiątej, prosiła go by przyjechał na pocztę zobaczyć się z nią, wszak to naturalne zupełnie, i nie ma powodu obawy, a jednak to krótkie oddalenie niepokoi mnie i zasmuca, jakby jaka długa podróż; po raz pierwszy od ośmiu dni rozłączyliśmy się na tak długo. Ah! jakże go kocham, jak się nudzę kiedy go nie ma.

Jedyna myśl jaką się w obecnym stanie mój duszy pocieszam, jest ta, że nieprzeżyłabym nieszczęścia; fatalna wiadomość, bolesny widok, pomyłka nawet... pewne imię okrutne wymówione wraz z imieniem uwielbianem, powtarzam ci, fałszywa wiadomość w tej samej chwili odwołana, zabije mnie od razu. Nie przeżyję dwóch minut potrzebnych do usłyszenia wiadomości przeciwniej. Ta myśl mnie pociesza. Jeżeli szczęście me ma się przedko skończyć niechże się kończy wraz z życiem. Jest druga godzina, Walenty! to rzecz niepojęta, że Rajmund jeszcze nie wrócił. Serce me, zaczyna się smucić ręka drży pisząc, oczy mgłą zachodzą...

Ktożby go mógł zatrzymać? Pojechał o ósmiej, powinien był już dawno wrócić. Wiem to dobrze, że owa kuzynka, która go chciała widzieć mogła się spóźnić w drodze. Mówi się zwykle: będę przejeżdżał przez to miasto o tej godzinie, a zdarza się często że się pomylimy w rachubie. Kobiety szczególnie nie pamiętają wyrachowań pocztowych. Wszystko to powinno mnie uspokoić, a jednakże drzę ciągle... Jego koń jest tak żywy... Dziwi mnie to, że Rajmund, nie dał mi przeczytać listu owej kuzynki; powiedział mi: Zostawiłem go na stole, szukałam go tam i nie znalazłam. Jakżeby go rada przeczytać, byłby mnie objaśnił dokładnie, o której godzinie miała być w Guéret i wyrachowałabym z łatwością o której godzinie mógłby powrócić. Kuzynka ta jest matką młodej dziewczyny z którą miał się żenić... może go kochała; czyżby i ona tam była?... Ah! cóż za niedorzeczne myśli! Taki mnie strach przejmuję że się bawię zazdrością. O! mój Boże! nie wątpię o jego miłości. Kocha mnie, kocha mnie o tyle o ile ja go kocham i to mnie właśnie przeraża. A w tej miłości tak czystej, tak doskonałej, tak boskiej w tem szczęściu, tak zupełnem, jest niebezpieczeństwo. Nieprawdaż, że to niedobrze kochać z taką czcią istotę ludzką, bo część taka samemu tylko Bogu się należy. Całą swą duszę oddać jednej istocie, zapomnieć wszystkiego dla niej, to źle!.. Oh! jakżeby chciała zobaczyć go, usłyszeć jego głos! Kocham tak ten głos!.. Jakże jestem niespokojna!.. cóż za okropna obawa! nie mogę zebrać myśli; przestaje się żyć, czując taką mękę rozpaczliwą... Gdyby się teraz ukazał jakaby była radość!.. O! niechęć by wszedł zaraz, chciałabym się przygotować, na to przyjęcie! Jeżeli wejdzie w tej chwili do tego pokoju, oszaleję z radości ściskając go.

Droga Walenty, cóż to za męczarnia miłość szczęśliwa!.. Nigdy bym już nie mogła znieść choćby przez godzinę takiego wzruszenia.

Jestem pewna, że mam gorączkę, zimno mi, mam zawrót głowy. Pisząc do ciebie siedzę przy oknie

rzucam spojrzenia chciwe na drogę co jest przedemną, na długą dębową aleję, jaką przyjedzie.

Patrzę, piszę jedno słowo, potem kilka, by mu zostawić czas zbliżenia się, by mieć rozkosz ujżenia go przed sobą podniósłszy oczy, i po każdym wyrazie skreślonym znów patrzę.

Nie się nie ukazuje na pustym horyzoncie, nie widzę ani konia ani kurzu, któryby go poprzedzał. Godzina bije! trzecia godzina! to straszne... Nadzieja mnie opuszcza... wszystko stracone... Czuję że umieram. Przeczucie mówi mi, że się dzieje coś okropnego dla mnie, na tej ziemi...

Ah! me serce rozdziera się, cierpię okropnie. Rajmundzie! Rajmundzie! Walenty! matko moja! na pomoc! na pomoc! Na skrócie drogi widzę konia, ale to nie koń Rajmunda... Ah! jest i jego... Ale on, nie widzę go... Boże

Ten nieskończony list hrabiny de Villiers pisany do pani de Braimes, nie miał, ani adresu ani podpisu.

LIST XL.

ROGER DE MONBERT DO PANA EDGARA DE MEILHAN

Hotel Belleine w Bruzelli.

Jesteś obecnie w Bruzelli, kochany Edgarze. Tak myślę i chcę by tak było, dla mój spokojności. Nie obawiam się dla ciebie surowej sprawiedliwości, ale chcę wiedzieć, że jesteś w miejscu pewnym i gościnnym.

Proces kryminalne, choćby szczęśliwie ukończone są zawsze smutne.

W wypadku w jakim jesteś trzeba się z razu ukryć i wy badać opinię.

Przyszłość wskaże co robić. A zresztą dopóki pojedynek nie będzie uprawnionym trzeba zawsze obawiać się trybunałów.

Może być że którego dnia jaki sąd znudzony naleganiem spadkobierców wyda wyrok. Czego każdy obawiać się może. Rozwaga nakazuje oddalić się i czekać.

Zapomniałem o tych zwyczajach. Wróciwszy z dziesięcioletniej podróży, trzeba się na nowo uczyć.

Niezwłocznie po wypadku, pobiegłem do adwokata Delestong, tyś mi go niegdyś polecił.

Tam trzeba było opowiedzieć wszystko co się stało, wyjawywszy niektórych szczegółów. Muszę cię objaśnić i powiedzieć, com powiedział, a o czem zamilczałem, aby ci to wskazało sposób postępowania w razie powołania przed sąd.

Uważałem za niepotrzebne, opowiadać co było między nami obudwoma przed walką. Nie nadmieniałem zatem, żeśmy ciągnęli na losy, kto pomści drugiego zostawiając mu rolę świadka. Nie widziałem także potrzeby wyjawiać przyczynę pojedynku, bo w takim razie, trzebaby było opowiadać długą historję, mieszać w nią nazwiska kobiet, czego się nigdy robić nie powinno. Powiedziałem tylko, że powody do walki były ważne i prawe. Wyjechaliśmy z Guéret, dodałem, o szóstej z rana pan Edgar de Meilhan i ja. O milę drogi usunęliśmy się z głównego gościńca Limoges i zsiadliśmy z koni, w lasku nazwanym małą kaskadą. W kwadrans później pan de Villiers przybył z dwoma oficerami na koniach jako swemi świadkami. Skłoniliśmy się sobie stanawszy w przestrzeni dziesięciu kroków, nie wymówiwszy ani słowa. Starszy z oficerów zbliżył się do mnie, podał rękę i biorąc mnie na stronę powiedział:

— My wojskowi nie śmiemy usuwać się od takiej przysługi, ale przybywamy na miejsce spotkania, zawsze z zamiarem pogodzenia wyzywających się. Ci młodzi ludzie mają głowy gorące, jest w tem zapewne jaka piękna blondynka lub brunetka; rozumiem to dzieciństwo rywalizacji. Już wyszło ze zwyczaju bić się o takie bagatele. Pogodzimy tę sprawę, nieprawdaż? oszczędzając miłość własną tych panów.

— Panie odpowiedziałem mu, wierząc mi, nie mogę się przyczynić do zgody, do której, jak ty za-

wsze jestem skłonny. Przybyliśmy tu z postanowieniem nieodwołalnym. Gdybyś wiedział...

— Powiedz mi, wszystko otwarcie, przerwał oficer z żywością.

— Żadasz niepodobieństwa, odrzekłem, z resztą rzecz już zupełnie ułożona.

— Więc jeżeli tak, rzekł wojskowy, ja i mój towarzysz usuwamy się.

— Jeżeli ty się usuwasz kapitanie, i ja usuwam się także i nie odpowiadam za to co się stanie.

— A cóż się stanie?

— Ci panowie, będą się bić bez świadków, ręczę ci za to honorem.

Oficer zwiesił głowę i zrobił ruch zniecierpliwienia.

Po chwili powiedział tonem zimno grzecznym:

— Wielka to nieprzyjemność dla nas. Wdaliśmy się w złą sprawę... Ale kończmy już raz... Czy broń już wybrana?

— Ma być wybrana losem.

— Ależ zawołał wojskowy, któż jest obrażonym a kto obrażającym?

— Obydwaj mają słusność i obydwa nie mają jej. To już ułożone kapitanie. Trzeba się więc i na to zgodzić, ciągnijmy losy, jeśli tak mają być.

Los wybrał szpadę.

— Ten wybór jest bardzo nie korzystnym dla pana Edgara de Meilhan, mówiłem, jego towarzysz ma pewną sławę w fechtowaniu.

— Czyście przywieźli z sobą chirurga? zapytał oficer.

— Tak panie. Jest doktor Gillard. Zostawiliśmy go w najbliższym domu.

Jak widzisz drogi Edgardzie obstawiałem silnie przytem, że wybór broni wypadł dla ciebie fatalnie, i jeżeli tego będzie potrzeba mogę opisać wymownie, jaki mnie strach ogarnął w chwili kiedy twa ręka wprawniejsza do pióra jak broni, chwyciła stalową szpadę.

Kończę moje zeznanie w tych słowach: Jak miejsca zostały wybrane losem, wręczyliśmy walczącym szpady zupełnie jednakowe; starszy świadek strony przeciwniej i ja, stanęliśmy o trzy kroki.

Za danym znakiem, szpady skrzyżowały się, Edgar atakował żywo swego przeciwnika z heroiczną zuchwałością, jaka cechuje zawsze niedoświadczonych.

Rajmund dziwił się, widząc się zmuszonym bronić, za wiele myślał w tych okrutnych chwilach, kiedy myśl zabija czyn. Walka nie trwała długo. Szpada Edgara lekko odsuwana, obroną pełną nieuwagi, przeszła przeciwnika na wskroś... Chirurg przywołany, zastał trupa.

Edgar wsiadł na konia i nie widziałem go już więcej. Ci co zostali oddali ostatnią przysługę umarłemu.

Opisałem ci to wszystko drogi Edgarze, nie dla tego by cię o tem co już wiesz uwiadomić, ale by ci przypomnieć wiernie, jakim to odbywało się porządkiem, a szczególnie dlatego, by uniknąć wniosków fałszywych, przy prowadzącym się procesie. Teraz muszę ci jeszcze opisać to, o czem nie wiesz.

Miałem obowiązek do spełnienia, daleko okropniejszy jak twój, trzeba było sobie przypomnieć naszą straszną przysięgę, by się zdobyć na odwagę i siłę.

Zanim nam los wskazał, który z nas będzie bohaterem pojedynku, zobowiązaliśmy się przysięgą, stać się w domu tej kobiety, by jej oznajmić o wypadku walki, jeśli dla nas przyjazną.

W gorączce szalonej, jaka w tej chwili paliła nasze serca i głowy, przysięga ta wydała nam się rzeczą bardzo rozsądną.

W każdej kropli naszej krwi, była taka nienawiść dla niej, dla niego, że zemsta z całą swą okropnością przeszedłszy po trupie, miała się stawić w obec żałobnej sukni nieszczęśliwej kobiety. Edgarze! Edgarze! jak zobaczyłem płynącą krew, a młodość i życie pod białością trupa, jak mnie zostawił samego na teatrze śmierci, jakaś raptowna burza zmieniła mój umysł. Zdało mi się że ta chwila

uczyniła mnie starszym o pół wieku, nienawiść wrzała w prawdzie jeszcze we mnie, ale w połączeniu ze smutkiem i rozczerwaniem. Zbrodnia była bezwzględna wielką, ale jakaż okropna pokuta! Stracić wszystko od jednego pchnięcia szpady, wszystko: młodość, kobietę, harmonię przyrody, światło słoneczne! Jednakże drogi Edgardzie przypomniałem sobie, o naszej uroczystej przysiędze, trzeba więc było ją wypełnić do końca. A potem przyznam ci się, że owe współczucie ludzkie, jakim mnie przejął widok trupa, nie rozciągało się do owej występnej kobiety. Czułem ciągle w sercu coś co się nie da określić ani nazwać, językiem zwyczajnych uczuć: mieszaninę nienawiści, miłości, zazdrości, pogardy i rozpacz. Ona nie umarła! Jeden tylko człowiek był złożony jako ofiara na ołtarzu tej bogini, czyż to tak wiele? Czyż kobietom nie potrzeba takich rozrywek! Ona żyć będzie, dziś trochę popłacze, a jutro się pocieszy. Jedna ofiara nie wystarczy tak wygórowanej dumie! Trzeba się szybko pocieszyć i szukać nowych ofiar!

Z takimi myślami postępowałem zwolna na koniu, w stronę wskazaną mi dnia poprzedniego.

(d. n.)

POGADANKA TYGODNIOWA.

W ubiegłym tygodniu p. Rapacki ukończył szereg przedstawień gościnnych w tutejszym teatrze i wraca do Krakowa, ale już tylko na czasowy pobyt. Od Września r. b. staje się stałym pracownikiem sceny naszej.

O zdolnym tym artyście żadnego nie dawaliśmy sprawozdania, bo chcieliśmy przedewszystkiem wyrobić gruntowne zdanie tak o talencie artysty, jak o stanowisku jego w sztuce, czyli sposobie zapatrywania się na jej godność i przeznaczenie. Pan Rapacki występował często, po trzy i cztery razy w ciągu tygodnia i w rolach najrozmaitszych zarówno do komedji, tragedji jak farsy należących. Przytem objął je po takich artystach jak Królikowski, Żółkowski, Rychter, co w każdym razie dowodziło wielkiej odwagi i pewności siebie. Nie chcę go pomawiać o zbytnią zarozumiałość, niepodobna bowiem przypuścić, aby na prawdę mógł wierzyć idąc czy to za jej podszeptami, czy za zdaniem życzliwych przyjaciół, że gra swą jeżeli nie przewyższy to przynajmniej wyrówna głównym ulubieńcom sceny Warszawskiej. Byłby to błąd za wielki; ulubieńcy ci z nadto już wiele pracowali, z nadto wyrobili się w kierunku przez siebie obranym, za nadto zaskarbili sobie względy publiczności warszawskiej, za nadto wreszcie wiele mają talentu, aby mogli być z łatwością po jedynco zastąpieni, a nie dopiero zbiorowo we trzech przez jednego. Nie zarozumiałość więc skłoniła p. Rapackiego do tak hazardownego kroku, ale przedźródła miłość sztuki i chęć okazania wszechstronności swego talentu w całej pełni, aby osądzono co wart i o ile na rozwój jego w przyszłości liczyć należy.

Według uznania ogólnego, ze wszystkich ról przez p. Rapackiego przedstawianych, rola Piotra Dżiszewskiego w komedji *Radcy pana Radcy*, należy do najlepszych jego kreacji. Zkąd to uznanie? Czyżby w innych za mało było żywiołu dramatycznego, i tylko komedja p. Bałuckiego miała posiadać wszystkie tajemnice, posługujące do uwydatnienia mocy talentu krakowskiego artysty? Rola pana Radcy nie jest ani zbyt dramatyczną, ani bogatą w subtelne odcienia, których uwydatnienie pokazuje całą wartość artysty i często osobie scenicznej nadaje znaczenie o jakim sam autor nawet nie marzył. Artysta na scenie nie jest samym aktorem tylko, ale i twórcą i ta to właśnie twórczość świadczy o sile jego talentu. W roli Radcy z twórczością prawdziwie dramatyczną nie ma wiele pola do popisu, owszem przeciwnie jest obawa wpadnięcia w farsę, ów najniższy szczebel prawdziwego artyzmu po za którym już tylko znajduje się komedjaństwo. Dla czegoż więc w roli nie nale-

żąc do znamienitych, pan Rapacki jest najwięcej chwalonym i podobającym się?

Oto dla tego zapewne, że występuje w niej samostanie: w innych mimowoli przychodzi do myśli to Królikowski, to Żółkowski lub Rychter.

Komedja p. Bałuckiego Radcy pana Radcy, pomimo trzech aktowego swego rozkładu i przewodniej myśli wykazania niestosowności wyboru do publicznych urzędów osób nieodpowiednich, nie jest komedją w ścisłym tego słowa znaczeniu. Brak w niej wyczerpięcia tej myśli, dokładnego jej obrobienia; jest to zobrazowanie człowieka niedołężnego umysłowo w domowym jego otoczeniu, który pomimo tego powołany został do sprawowania ważnego urzędu miejskiego radcy. Następstwa tego stanowić mogące osnowę do prawdziwej komedji, nader słabo wycienione zaledwie dotknięte zostały i to o tyle tylko, o ile wymagało domowe życie pana radcy, żeby niedołężność jego w całym zajaśniała świetle. Zamiast więc zobrazowania zawodu publicznego dobra, różnych szkód ztąd dla niego wynikających, autor dał nam obrazek żony radcy zdradzającej męża, przyjaciela radcy zdradzającego przyjaźń i wreszcie wikłającego się w romans z guwernantką starą panną w tej pewności, że razem z nią odziedziczy krocie wygrane na loterii, które ją przez fatalną sprzedaż losu na nieszczęście ominęły. Dodatki te właściwie stanowią osnowę i dla tego jako zużyte, trywialne, sztuczne całej barwę prawdziwej komedji nie nadając, więcej ją zbliżają do farsy.

Artyści też wszyscy pomimo wyborniej gry, z pod wpływu tego nie mogąc się otrząsnąć, mimowoli wpadają w farsowatość, co im jednak za ujmę poczytać nie można. Przesady w sytuacjach komicznych, przez samego autora jedynie dla śmiechu ułożonych, z pominięciem naturalności trudno było uniknąć. Sam nawet p. Rapacki, w scenie w której się dowiaduje o zdradzie swej żony, zamiast śmieszyć naturalnością oburzenia, mogącego znaleźć odpowiednie żywioły w jego nicości moralnej, śmieszy przesadą z po za której zaledwie sam śmiechem nie wybucha. Dla czego pan Rapacki nie uniknął tego, wyjaśnienie niezmiernie trudne. Być może że charakterystyczne role zgodniejsze są z naturą talentu tego artysty, co i zamiłowanie do przeistaczania swjej postaci aż do zatarcia wszelkich śladów osobistości, wiele zatem przemawia. Pomocniczy ten jednak środek, wyborczy w koniecznych razach, nadużyty, ujmę przynosi zarówno sztuce jak i talentowi artysty. Nie sztuczna bowiem zmieniającej osoby, artysta do widzów powinien przemawiać, ale gra, odpowiednią intonacją głosu, zmianą rysów twarzy i stosowną deklamacją. Wprawdzie p. Rapackiego w charakteryzowaniu się o przesadę pomawiać nie można, ale jest już na najwyższym jej punkcie, na której jeden jeszcze krok naprzód a łatwo wpaść może w ostateczność.

Królikowski, Żółkowski, Rychter a nawet Panczykowski i Chomiński, w różnych występując rolach, a jednak w charakteryzowaniu się tak umieją właściwe jego granice zachować, że czyniąc zadosyć konieczności, osobistości swojej nie niszczą. Mimo tego gra ich nie na tem nie traci, wychodzi w całej swjej pełni, wykazując siłę talentu, umiającego się nagiąć do najróżnorodniejszych wymagań. Pan Rapacki troskliwszym jest pod tym względem: przyborów charakterystycznych obficie używa.

Mała to rzecz na pozór, ale zdaje się, jak już powiedziałem, harmonizować z rodzajem talentu p. Rapackiego, którego zasoby aczkolwiek wielkie, wymagają jeszcze pewnego jakby ogładzenia, wyrobienia, niby wyszlachetnienia i podniesienia, żeby go zdołały pomieścić w rzędzie pierwszorzędných ulubieńców publiczności, należących do sceny teatru warszawskiego.

Czy to kiedyś nastąpi? Wątpić niepodobna: z nadto p. Rapacki ma zamiłowania do sztuki, za wiele talentu i z nadto pracuje aby nie miał z czasem dojść do tej tak upragnionej dla każdego artysty wyżyny. Przyjęcie też jego do składu naszego teatru, publiczność nader chętnie przyjęła, i umie oceniać starania Dyrekcji dbałej o utrzymanie sceny na godnym jej stanowisku. Ta dbałość nie na tem jednym się ogranicza. Dawniej z oryginalną sztuką trudno było się docisnąć do teatru, dziś podwoje sceny są otwarte

dla niej z całą gościnnością. Wprawdzie Gazeta Warszawska nazwała to obowiązkiem, powinnością, a wszelkie podzięki przesadzonymi grzecznościami, którym tamę czas już położyć; nie zmniejsza to przecie zasługi Dyrekcji. Obowiązki łatwo się przyjmują, lecz nie zawsze spełniają i dziś częściej się to dzieje jak niegdyś. Podzięka więc słusznie należy. Wprawdzie w nowych oryginalnych sztukach, nie pojawiło się żadne arcydzieło ani nawet sztuka którąby można nazwać dobrą i udatną, zawsze jednak są one lepsze od wielu fars tłumaczonych, któremi przepełniony teatr karmił widzów dawniej z tak wytrwałą i niczem nie zrażoną cierpliwością. Dziś dla farsy obcej już nie tak prędko znajdzie się miejsce, pisarze zaś mając wolne szranki do popisu, pomalutką wprawiają się, oswoją z wymaganiami scenicznymi i pisząc dość nieźle, zaczęli pisać dość dobrze, później dobrze, aż wreszcie powstanie nowy Fredro i obdarzy nas jakim arcydziełem i to nie jednym.

Pan Bilse w przeszłą niedzielę rozpoczął zwykłe wystąpienia muzyczne w nowo urządzonej Szwajcarskiej dolinie, przeistoczonej do niepoznania. Wycekiwani z niecierpliwością i powitani nader życzliwie, mimowoli zmartwił wszystkich zapowiedzianem na afiszach podwyższeniem ceny biletów wejścia. Na szczęście, pan Bilse jak tylko przybył do Warszawy, cenę wejścia utrzymał dawniejszą.

Powodem tej chętki wyzyskiwania publicznego zamiłowania muzyki, nie innego zapewne nie było, jak owe nieszczęśliwe koncerty opłacane rublami i dwurublami. Mamy więc prześliczną muzykę, w wybornym składzie, pod dzielnym przewodnictwem i do tego chętną i niezmordowaną. Publiczność nadużywa jednak praw jej służących: *bis!* łatwo wymówić, ale dla artystów grających po osiem i dziesięć godzin dziennie, owo *bis!* to jak utkwniona kość w gardle. Wartoby się nad tem zastanowić.

Anioł Zmartwychwstania p. B. Syrewicza, wystawiony na widok publiczny, zgromadza ciągle ciekawych. Jest to praca świadcząca pochlebnie o talencie artysty. Posąg cały wykuty z marmuru kararyjskiego, ma od postawy do końca skrzydeł 14 stóp wysokości. Przedstawia anioła siedzącego na sarkofagu i okrytego lekką, przezroczą tuniką. Powaga, spokój, piękność prawdziwie anielska widnieją mu z twarzy, chociaż skrzydła rozpięte świadczą jasno że do lotu gotowy. Prawa ręka podniesiona w górę zda się nakazywać mileczenie wrzawie ziemi a skupienie ducha w sobie, jakby Pan niebios w każdej chwili miał stanąć w całym Swym majestacie; w lewej trzyma trąbę na hasło strasznego dnia co zgromadzi żywych i umarłych na sąd ostateczny. Na czole świeci mu gwiazda, niby nadzieja miłosierdzia. Pan L. J. w Tygodniku ilustrowanym, zarzucił Aniołowi p. Syrewicza zbytęzną przezroczystość zasłony okrywającej niższą część ciała.

Sądziłbym przeciwnie, że tunika udrapowaniem, miękkością i wiotkością, jest najlepiej odrobioną w całym posagu.

Skrzydła cokolwiek za ciężkie mają za to pióra mistrzowsko wykonane: twarz miła a nawa t piękna niechybnie może nie pozostawiała do życzenia, gdyby włosy na niej były nie tak grubo rozpostarte. Pozbawia to je delikatności i nie spaja z całością jak być powinno.

W każdym razie Anioł p. Syrewicza, jakkolwiek nie arcydzieło, należy jednak do prac dobrych i pięknych i mógłby stanąć obok dzieł duża włoskich artystów. Na wystawie Paryskiej było ich mnóstwo, a każde zdawało się posiadać życie, jakby się było nie pomiędzy martwymi bryłami, ale wśród ludzi mających co chwila powitać widza, gwarem różnorodnej rozmowy.

W Zielone Świątki tradycyjnym zwyczajem, pobożny lud Warszawski gromadnie nawiedził Bielany, a potem w lasku używał rozkoszy wiejskich ciesząc się murawą, cieniem, zielenią i kataranką, która na ten jeden raz wszystkie ptaszyny wygnała w pola. Klasy zamożniejszej nader było mało, powozów niewiele, dryndulek jednokonných mnóstwo, kurzu tumany, a jednak bawiono się wybornie, jak to świadczyły liczne harmonijki przy powrocie wprawiane w ruch, dla uprzyjemnienia i skrócenia drogi

pieszo powracającym. Świat piękny przeniósł się cały prawie do ogrodu botanicznego, do Mokotowa. Wierzbna i Doliny Szwajcarskiej, ogród Saski roił się publiką, ale mieszkającą w dalszych stronach miasta, dla których nawiedzenie ogrodu stanowi już wycieczkę nie często się trafiającą.

O ubiorach męzkich.

Tego, co nazywamy, a przynajmniej nawykliśmy nazywać wiosną, nie mieliśmy właściwie tego roku; po zimnach i słońcach nastąpiła od razu najpiękniejsza pogoda letnia.

O ubiorach zatem wiosennych nie mogło być mowy.

Paltoty, które służyły w jesieni, zastąpiły ciężkie futra oto i wszystko, po czem można było poznać żeśmy zimą pożegnali.

Za nastaniem zaś tak wcześnie pory ciepłej, letniej, moda w ubraniu męzkim nie zaraz się u nas ustaliła, przywykliśmy bowiem czekać na inicjatywę z zagranicy, szczególnie na hasło z Paryża; dopóki nie nadejdą żurnale paryzkie z modami letnimi, dopóty wszystko u nas jest niepewne, wachające się i wyczekujące.

A przecież... zauważyliśmy to z wielką przyjemnością, że od lat kilku już nie tak bałwochwalczo trzymamy się mody zagranicznej jak dawniej, ale mówię tu tylko o ubraniu męzkim; przestaliśmy brać za rzeczywistość bujne koncepty krawców paryzkich, dziś chyba jakiemu bogatemu półgłówkowi, przyjdzie na myśl stać się wierną kopią dziwacznych ubrań. Stosujemy się w prawdzie do upowszechniającej się zwolna mody, ale tylko w ogólnych rysach, idąc za pełnym taktu naszych krawców gustem, którzy zręcznie umiemy wymijać ekscentryczności obce, a przyswajając sobie to, co zasługuje na przyswojenie.

O tegorocznych modach letnich, sądząc z tego, cośmy widzieli na wystawniejszych spacerach i koncertowych zebraniach oraz tego, co nam przyniosły obce dzienniki, powiedzieć można, iż wielkich zmian nie przyniosła; krój bardzo mało się zmienił, a tylko materiał, albo raczej jego kolor niejakiemu uległ przeobrażeniu.

Mody tegoroczne w ogólności dadzą się w kilku wyrazach skreślić:

Surduuty, fraki, żakiety, okrycia i t. d. krótkie, nawet bardziej krótkie niż przed kilku miesiącami, ale przytem luźne, dostatnie.

Pantalony nieco obcisłe powyżej i w samym kolanie.

Kamizelki pikowe białe, z klapami na dwa rzędy guzików zapinane.

Na klapach żakiet i paltotów letnich naszywki jedwabne, szczególnie dla młodzieży i zapalonych strojnisiów.

Oto i wszystko co do kroju, o materiałach, ich kolorze zaraz powiemy, mówiąc szczegółowo o każdym ubraniu. Tu piszący wyznać musi, że w prawdziwym nie raz jest kłopot, jak nazwać po polsku niektóre nowomodne kolory, powiedzieć zaś kasztanowaty, brązowy, tabaczkowy, kawowy i t. p. określenia dostatecznego nie dajemy i obrażamy temi trywialnymi nazwami delikatne ucho strojnisiów, prosimy więc nam darować, jeśli używać będziemy nazw francuskich, których znaczenie dobrze jest znane tak krawcom, jak światu eleganckiemu.

Tużurki, albo surduciki, i fraki, jako używające się na ceremonialne wystąpienia, robią się zawsze z sukna czarnego. W kroju ich od kilku miesięcy nie zaszła wielka zmiana. U fraków tylko szose dają się nieco krótsze; niektórzy krawcy robią także

klapy nie tak długo wywijane jak dotąd. Rękawy proste i dostatnie.

Tużurki fantazyjne robią się z sukna ciemno-błękitnego, *marron*, i ciemno zielonego, a przytem z sukna dziś w modzie będącego, przecinanego w skośne prążki (diagonal) lub nakrapianego w centki.

Właściwa forma surducików, tużurków jest o dwóch rzędach guzików, robią się przecież jednorzędne z klapami w kształcie szalowym. Poły krótkie, szew w samym stanie. Na klapach dają się naszywki jedwabne, o których wyżej wspomnieliśmy, powinny one być tego samego koloru co samo ubranie.

Żakiety są różnego rodzaju: jedne mają klapy długie, szalowe, drugie, mianowicie do rannego ubrania, klapy znacznie skrócone. Połączenie klap z kołnierzem jest albo kanciaste, albo zaokrąglone, jak to widzimy na załączającej się rycinie. Dodajemy przy tem, iż żakiety przystające do figury więcej są używane, niż w formie saków.

Kiedy żakiety się robią z sukna fantazyjnego w dzikich kolorach, wtedy brzegi obszywają się cienką plecionką, kiedy zaś są z jednostajnego materiału, to stębnują się podwójnie, a dla większej akuraczności, zwykle na maszynie.

Okrycia tak samo jak wszystkie ubrania są o tyle krótkie, aby mogły zakryć poły tużurka, fraka lub żakiety. Okrycia robią się dwójką formą: albo w kształcie saków o dwóch szwach, albo twinów, o trzech z rozporem u dołu pleców, długim na 20 do 25 centym. i zapinającym się na trzy guziczki zakryte patką.

Z przodu zapinają się okrycia na guziki zakryte listewką; klapy przy połączeniu z kołnierzem są albo kanciaste, albo zaokrąglone.

Okrycia robią się z materiałów matowych w kolorach dzikich, jak *marron*, *mélange*, *mchu zielonego* i szaro niebieskawe. Na ciepłe wieczory letnie biorą się na okrycia materje lekkie w jasnych kolorach.

Brzegi okrycia stębnują się podwójnie, albo też lamują, gdy się ma do czynienia z materiałem który się strzępi. Naszywki jedwabne dające się na eleganckich okryciach, ciągną się od samego początku klap aż do dołu w kierunku prostym.

Pantalony robią się krojem prostym nieco obcisłe przed i koło kolana, nogawice zachodzą trochę na buty przez co noga nie wydaje się tak wielka, jak to przy dawnym było kroju. Materiały tu używane są kaszmiry i korthy letnie w jednostajnym kolorze lub mieszanym, w duże kraty lub skośne prążki (diagonal). Do fraka i tużurka właściwe są kolory jednostajne, jasne, jak perłowy i lapisowy, do innego zaś ubrania kolory dzikie, mieszane. Lampasy jeszcze utrzymują się w modzie, chociaż nie zawsze, dają się zaś szerokie, ciemne na kortach jasniejszych, a nawet białe na nieco ciemniejszych. Pantalony w duże szkockie kraty, jako zbyt jaskrawe i ekscentryczne zaraz w początkach samych zarzucono.

Forma kamizelek jest dwójką: albo na dwa rzędy guzików, albo na jeden, lub z szalem długim, albo krótkim. Kamizelka ciągnie się do samego stanu i kończy się kantami ściętymi lub zaokrąglonymi. Białe kamizelki pikowe najwięcej są w lecie używane. Przy tak zwanych garniturach nie tylko żakieta i pantalon, ale i kamizelka robi się z tego samego materiału.

O kołnierzykach, mankietach i górsach u koszuli nie mamy nic nowego do powiedzenia, chyba to, że kołnierzyki tak wykładane jak stojące po niżej brody nieco są wycięte, nie tak jak dawniej ściśle z sobą złączone. Daje to większą swobodę poruszeniom szyi i głowy.

Krawaty postrzegamy dwójką: szaliki spuszczone, spinające się na ozdobne śpilki, zwykle z jasnych

robione materji, i czarne wąskie, używające się przy fraku lub ceremonialnem ubraniu.

Kapelusze najmodniejsze obecnie są niskie zupełnie proste, albo też nieco wygięte, rondo również jest proste po bokach, lub nieco zawinięte. Wyginane lub bardzo niskie, któremi przed miesiącem obdarzały nas sklepy Warszawskie wyszły już z mody, albo raczej nigdy modnymi nie były.

Kapelusze są czarne, białe, szare, popielate, brązowe i innych ciemnych kolorów. Do fantazyjnych liczą się marynarskie tak zwane *Kubańskie*.

Buty, kamaszki wszelkiego rodzaju ciągle się noszą z szeroko przyciętymi nosami.

J. P.

Opis ryciny męskiej.

Figura 1. Żakieta z ciemno granatowego korciku krojem angielskim. Poły są krótkie, kołnierz niski; klapy długo wykładane naszyte czarną materją jedwabną. Rękawy zwyczajne. Kamizelka pikowa z wyłożeniem na krzyż, zapinana na dwa rzędy. Pantalony z lampasem w rzadkie paski. Kapelusz popielaty niski, brzegi mało podniesione, opaska szeroka.

Figura 2. Liberja *groom'a* do konnej jazdy. Surducik z zielonego sukna (*vert impérial*) zapięty od stanu aż do pierwszego guzika, od którego maleńkie idą rabaty zaokrąglone i otwarte. Kołnierz i mankiety z pasowego sukna. Pas lakierowany czarny; spodnie białe łosiowe; buty ze sztylpami; kapelusz kaistorowy, prostej formy z płaskimi okrągłymi brzegami, opasany szerokim złotym galonem. Kokarda z boku ze wstążki.

Figura 3. Amazonka z czarnego korciku albo repsu. Stanik pod szyję prosto zapięty; kołnierzyk stojący szeroki na 1 cent. Baskina nakształt fraczka z zaokrąglonym zębem, dwa guziki z tyłu w pasie. Suknia powłóczysta skośno krajana; pantalon czarne sukienne bez fałdów. Kapelusz czarny jedwabny niski z okręconym woalem popielatym.

Figura 4. Ubranie letnie negliżowe. Żakieta z brązowego sukna na 3 guziki zapięta. Kołnierz aksamitny; poły krótkie. Kamizelka pikowa na krzyż zakładająca się. Pantalony w ukośne paski na tle popielatem. Okrycie (twine) z lekkiego materiału. Kapelusz niski i prosty.

Figura 5. Ubranie strojne. Frak czarny sukienny, kołnierz i mankiety także same; pantalon obcisłe czarne kaszmirkowe; kamizelka biała pikowa gładka nisko na trzy guziki zapięta. Koszula w drobne zakładki z wywinętym kołnierzem, krawat biały. Rękawiczki jasno-żółte. Kapelusz niski, wewnątrz podszyty skórą i białym atłasem. Ze zmianą rekawiczek na białe, ubranie to służy na bal i do ślubu.

Figura 6. Ubranie na wieś i do konnej jazdy. Żakieta i pantalon z jednakowego materiału na tle paskowem orzechowe kratki. Pantalony dobrze obcisłe. Żakieta wcięta do figury, zapina się na pierwszy guzik, dość nisko przyszyty. Kołnierz niski, rękawy luźne; poły od żakiety krótkie, od stanu ukośno ścięte. Kamizelka pikowa pod górę; kapelusz pilśniowy popielaty niski wygięty po bokach.

Figura 7. Ubranie miejskie. Tużurek czarny sukienny, na dwa rzędy zapinany, poły krótkie, wyłogi i kołnierz jedwabne. Kamizelka biała pikowa wycięta. Pantalony obcisłe w dosyć dużą lecz cienką kratę. Krawat angielski; kapelusz prosty, niski, brzegi płaskie z przodu i z tyłu, opasany szeroką taśmą.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka męzka.